



Stanisław Reymont - Chłopi, część 1.

Władysław Reymont był synem wiejskiego organisty. Karierę naukową zakończył na dyplomie czeladnika krawieckiego.

Reymont próbuje sił w teatrze – bezskutecznie. Pracuje jako dozorca na kolei. Myśli o wstąpieniu do klasztoru Paulinów. Píše do gazety Głos. W opłakanych warunkach żyje w Warszawie. Dużo pisze i rozwija się.

Przełomowy jest rok 1894. Pisarz idzie z pielgrzymką do Częstochowy i pisze powieść „Pielgrzymka do Jasnej Góry”. Okazuje się to wielkim sukcesem wydawniczym. Podróżuje do Europy i dostaje zamówienie o Łodzi. Tak powstaje „Ziemia Obiecana” (z ekranizowana później przez Andrzeja Wajdę).

Pieniądze przynosi mu... katastrofa kolejowa. To nie pomysł na kolejny tytuł, ale dramatyczne przeżycie. Pisarz przeżył wypadek pociągu pod Warszawą. Dostaje wielkie odszkodowanie. Każde nieszczęście może mieć w sobie szczęście. Reymont pisze.

„Chłopów” publikuje w latach 1902 – 1908 w „Tygodniku Ilustrowanym”. Oczywiście w odcinkach. Poza tym działa społecznie - w Stanach Zjednoczonych jako przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Prosi tamtejszą Polonię o pożyczkę narodową. W 1920 roku kupuje majątek ziemski w Kołaczku koło Wrześni, w Wielkopolsce. W listopadzie 1924 roku dostaje literackiego Nobla za „Chłopów”.

Jest jesień. Ksiądz spotyka starą Agatę, którą dzieci wyrzuciły z domu. Daje jej kilka monet. Chce się modlić, ale jego myśli zajmuje jesienny krajobraz. Idąc w kierunku kaplicy, spotyka chłopów pracujących na polu.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Ksiądz szedł coraz wolniej, czasem przystawał, aby odetchnąć, to znowu obejrzał się na swoje siwki, to przyglądał się chłopakom, obtłukującym kamieniami ogromną gruszę, aż hurmem przybiegli do niego i chowając ręce za siebie całowali w rękaw sutanny.

Pogładził ich po głowach i rzekł upominająco:

– Nie łamcie ino gałęzi, bo na bezrok gruszek mieć nie będziecie.

– My nie rzucalim na gruszki, ino że tam jest gapie gniazdo – ozwał się śmielszy.

Ksiądz się uśmiechnął dobrotliwie i zaraz znowu przystanął przy kopaczkach.

– Szczęść Boże w robocie!

– Boże zapłać, dziękujemy! – odpowiedzieli razem, prostując się, i ruszyli wszyscy do ucałowania rąk dobrodzieja kochanego.

– Pan Bóg dał latoś urodzaj na kartofle, co? – mówił wyciągając otwartą tabakierkę do mężczyzn – brali sumiennie i z szacunkiem w szczypty, nie śmiejąc przy nim zażywać.

– Juści, kartofle kiej kocie tby i dużo pod krzami.

– Ha, to świnię zdrożęją, bo jaki taki chciał będzie wsadzać do karmika.

– Już i tak drogie; na zarazę latem wyginęły, a i do Prus kupują.

– Prawda, prawda. A czyje to ziemniaki kopiecie?

– A Borynowe.

– Gospodarza nie widzę, tom i rozeznać nie rozeznał.

– Ociec pojechali z moim ano do boru.

– A to wy, Anna, jakże się macie? – zwrócił się do młodej, przystojnej kobiety w czerwonej chustce na głowie, która, że ręce miała uwalane ziemią, przez zapaskę ujęła jego rękę i pocałowała.

– Jakże się ma ten wasz chłopak, com go to we żniwa chrzcil?

– Bóg zapłać dobrodziejowi, zdrów, się chowa i coś niecoś bałykuje.

– No, zostańcie z Bogiem.

– Panu Bogu oddajem.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

I ksiądz skrzył na prawo, ku cmentarzowi, który leżał z tej strony wsi, przy topolami wysadzonej drodze.

Długo za nim spoglądali w milczeniu, na jego smukłą, pochyloną nieco postać, dopiero gdy przeszedł niskie, kamienne ogrodzenie cmentarza i szedł między mogiłami ku kaplicy, co stała wśród pożółkłych brzoź i klonów czerwonych, rozwiązały się im języki.

– Lepszego to i na całym świecie nie znaleźć – zaczęła któraś z kobiet.

– Juści, chcieli go też zabrać do miasta... żeby ociec z wójtem nie jeździli prosić biskupa, to byśwa go i nie mieli... Kopta no, ludzie, kopta, bo do wieczora mało daleko, a ziemniaków mało wiele! – mówiła Anna wysypując swój kosz na kupę żółcą się na rozkopanej ziemi, pełnej zeschniętych łęcin.

Wzięli się chyżo za robotę i w cichości, że ino słyszeć było dziabanie motyczek o twardą ziemię, a czasem suchy dźwięk żelaza o kamień. Czasami ktoś niektoś wyprostował zgięty i zbolały grzbiet, odetchnął głęboko, popatrzył bezmyślnie na siejącego przed nimi i znowu kopał, wybierał z szarej ziemi żółte ziemniaki i rzucał do kosza, przed się stojącego.

Ludzi było kilkanaścioro, przeważnie starych kobiet i komorników, a za nimi bieleły się dwa krzyżaki, u których w płachtach leżały dzieci raz w raz popłakując.

– A tak i stara poszła we świat – zaczęła Jagustynka.

– Kto? – spytała Anna podnosząc się.

– A stara Agata.

– Na żebry...

– Juści, że na żebry! Hale! nie na słodkości, ino na żebry. Obrobiła krewniaków, wysłużyła się im bez lato, to już ją puściły na wolny dech.

– Wróci na zwiesnę, to im naznosi w torebeczkach, a to i cukru, a to i harbaty, a to i grosza coś niecoś; zaraz ją będą miłowały, każą spać w łóżku, pod pierzyną, robić nie dadzą, coby se wypoczena. A wujna, a ciotka jej mówią, póki tego ostatniego szelągka od niej nie wyciągną... A jesienią to już la niej miejsca nie ma w sieni ani we chliwie. Scierwy, psie krewniaki i zapowietrzzone – wybuchała Jagustynka i taki gniew ją przejął, że stara jej twarz posiniała.

– Biednemu to zawsze na ten przykład wiatr w oczy dorzucił jeden z komorników, stary, wynędzniały chłop z krzywą głową.

– Kopta no, ludzie, kopta – popędzała Anna nierada tokowi rozmowy.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Kobiety jak zaczną plotkować to... No tak. Obgadują starą Agatę i mówią o Dominikowej posądzanej o czary. Na ich językach jest też jej córka, JAGNA. Wyrzucają, że się stroi i za chłopami rozgląda.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl